

Magda Miller
Miejska Biblioteka Publiczna im. Stanisława Gabryela w Gorlicach

Między ciepłem a światłem. Czy społeczność wiejska potrzebuje przestrzeni wspólnej?

Streszczenie: Autorka przygląda się różnym obszarom życia współczesnej społeczności wiejskiej i stara się odnaleźć te, w których porusza się ona we wspólnej przestrzeni — mentalnej, terytorialnej, kulturalnej, obyczajowej. Píše o sukcesach i porażkach budowania samorządności, dominującej roli Kościoła katolickiego i zmianach postaw wynikających z nowych technologii. Zastanawia się, na ile globalna wioska sprzyja wspólnocie, a na ile ją atomizuje.

Słowa kluczowe: wspólnota, przestrzeń wspólna, nowe technologie;

Wspólnota daje nam ciepło, byt osobny daje nam światło.
Carl Gustav Jung

Ostrzeżenie

Umówmy się od razu — na pytanie zawarte w podtytule („Czy społeczność wiejska potrzebuje przestrzeni wspólnej?”) są dwie odpowiedzi: TAK! i NIE! Obie jednak uprawnione, obie jednak prawdziwe. Wyjaśnienie tej kwestii na początku oszczędzi Wam, drodzy Czytelnicy, konieczności deklarowania się po którejkolwiek stronie i wynikających z tego emocji. Pozwoli za to — mam nadzieję — spojrzeć chłodnym okiem na współczesną wieś i wspólnie zastanowić się, co ją rozwija, a co ogranicza. Zaczerpniemy w tym patrzeniu trochę od McLuhana, Puthama, Rottera, a nawet od Orwella, Lema i Eco. Już z doboru tych nazwisk widać jasno, że poruszać się będziemy ruchem konika szachowego, przeskakując tu i ówdzie nad rzuconymi — niby od niechcenia (ale nie łudźcie się, nie ma przypadków!) — pytaniami. Znacznie więcej ich zresztą niż odpowiedzi. Zatem tych z Was, którzy oczekują rzetelnej ścisłości metodologicznej proszę o przejście do innego artykułu.

Wyjaśnienie

Jestem mieszczuchem osiadłym na wsi. Łodzianką, która, jak wielu tzw. *boat people*, znalazła się w Warszawie, by tam doznać iluminacji i uciec hen w Beskid. Mieszkam tu piętnaście dobrych, owocnych, intrygujących, szczęśliwych lat, pozostając na zawsze „ptakiem”, może nawet i osiadłym, ale z pewnością niezakorzenionym. Stąd biorą się dwie przydatne dla tego tekstu cechy — spojrzenie z zewnątrz i jednoczesna potrzeba afiliacji. Nie przynależę w pełni do wspólnoty, w której mieszkam, choć niejednokrotnie doznawałam poczucia więzi, jak choćby wówczas, gdy wybrano mnie radną czy — bardziej osobiście — kiedy podczas choroby potrzebowałam krwi do transfuzji i w odległym o sześćdziesiąt kilometrów mieście stawili się kilkunastu mieszkańców gotowych ją oddać. To są zdarzenia, których się nie zapomina. Mogę więc powiedzieć, że zanurzam się w przestrzeni wspólnej, czerpię z niej, doświadczam jej ciepła a niejednokrotnie sama ją kreuję. Dlatego moja osobista, emocjonalna odpowiedź brzmi: tak! Moje „szkiełko i oko” mówi: nie!

Przestrzeń wspólna — przestrzeń niczyja?

Co to jest przestrzeń wspólna? Jakiej definicji użyć, skoro na zagadnienie można patrzeć z kilku odległych punktów widzenia, od fizyki, matematyki i geometrii poczynając, przez filozofię, socjologię i antropologię, po geografię i astronomię. Co oczywiste, upomni się o swoje także literatura, która bez przestrzeni (i czasu) istnieć nie potrafi. Kłania się architektura, pytając czy współcześnie pojmowana przestrzeń publiczna, to aby nie długo oczekiwany początek architektury dla ludzi? Mamy więc przestrzeń jako terytorium, pewien obszar, teren, strefę, miejsce; także otoczenie i środowisko. I metaforyczną przestrzeń życiową. Mamy wreszcie przestrzeń, w jej znaczeniu nieokreślonej i nieograniczonej trójwymiarowej rozciągłości, która znalazła poczesne miejsce w nowomowie, a dokładniej w jej modnej trenerskiej odmianie. Na równi z aktywnościami, funkcjonalnościami, środkami budżetowymi i pozabudżetowymi (które kiedyś zwano zwyczajnie pieniędzmi), aplikacjami, partycypacjami, grantami, focusami, coachami i tutorami.

Kiedy przestrzeń wspólna jest potrzebna? Trochę — jak we wspólnotach pierwotnych — w obliczu wroga, obcego, niebezpieczeństwa, trwogi. To konotacje negatywne. Jednocześnie odwieczne i współczesne. Pożar, powódź, wataha wilków porywających owce czy stado dzików traktujących uprawy — każde z tych zdarzeń dziś, jak przed wiekami, błyskawicznie buduje w społeczności wiejskiej przestrzeń wspólną. Zwieranie szyków i działanie we wspólnej przestrzeni może mieć — i ma — także konotacje pozytywne. Kiedy do głosu dochodzi i ukonkretnia się, np. w postaci kanalizacji, gazyfikacji czy wodociągu, nieco abstrakcyjne na co dzień pojęcie dobra wspólnego. Kiedy posiadanie przez wieś dokumentu zwanego Planem Odnowy pozwala zdobyć pieniądze na budowę boiska, parkingu czy remont remizy. Kiedy od założenia stowarzyszenia zależy być albo nie być miejscowej szkoły. Ale czy między tymi skrajnościami jest rzeczywista potrzeba, chęć, możliwość działania w przestrzeni wspólnej na co dzień?

Zastanówmy się, kto jest predestynowany do budowania wspólnej przestrzeni i „jak co komu wychodzi”.

Robię to, co mówię, mówię to, co myślę, myślę to, co czuję.

Mahatma Gandhi

Wypisy z Orwella

Zasada sformułowana przez Gandhiego jest tak prosta i oczywista, że aż... niemożliwa do realizacji. Dużo bliżej jest społeczności wiejskiej (czy tylko wiejskiej?) do orwellowskiego dwójmyślenia i deklaracji „myślę jedno, robię drugie, mówię trzecie”. W 31 lat po symbolicznym roku 1984, w 26 lat po zmianie ustroju w wielu z nas nadal mieszka homo sovieticus ze swoim arsenałem przywar: zniewoleniem, brakiem poczucia odpowiedzialności, koniunkturalizmem i oportunizmem, podejrzliwością i niemożnością obdarzenia zaufaniem, kłamstwem, oczekiwaniem czy wręcz domaganiem się od mitycznych „onych” (rządu, samorządu), żeby „załatwili”, brakiem samodzielnego myślenia i działania, podporządkowaniem władzy, uniżonością wobec silniejszych przy jednoczesnej pysze, a nawet agresji wobec słabszych. Nie są to cechy ułatwiające budowanie przestrzeni wspólnej. Daleka je-

stem od dychotomii myślenia; paleta zjawisk i działań przeczących powyższemu stanowi-
sku skrzy się kolorami i niemal każdy potrafi dorzucić do niej swój odcień. A jednak...

Dwójmyślenie zaczyna się często już na poziomie rodziców i rodziny, dobrze ma się w gru-
pach rówieśniczych, sąsiedzkich, by w pełni rozwinąć się w szkole. Oj, czuję te gromy, któ-
re się sygną od Was, drodzy Czytelnicy. Odpowiedzmy sobie jednak uczciwie na kilka py-
tań: czy w wiejskich szkołach, zdominowanych często przez konserwatywny, a nawet
skrajnie konserwatywny światopogląd i silnie nacechowanych religijnie obserwujemy edu-
kację do wolności, niezależności i tolerancji? Czy przymusowe założenie mundurków i po-
rzucenie ich cichcem wraz ze zmianą kierunku ministerialnego wiatru służyło powadze
szkoły i samodzielnie (ponoć) myślących dyrektorów? Czy nauczyciele na wsi widzą w ro-
dzicach rzeczywistych partnerów czy, korzystając niejednokrotnie z przewagi wykształce-
nia i daru wypowiedzi, dominują nad nimi i dyrektywnie narzucają swoje stanowiska? Czy
pokutujące w szkołach „akademie ku czci” mogą być duchowym i estetycznym przeżyciem
dla kogokolwiek? Czy zatem szkoła wywierająca presję, nakazująca, oceniająca, monito-
rująca, jakże daleka od wolnościowych koncepcji Marii Montessori, Celestyna Freineta czy
Szkoły Summerhill Alexandra Sutherlanda Neilla, rozwija czy ogranicza wychowanków?
A przecież niejednokrotnie wiejska szkoła działa w szczególnie korzystnych warunkach —
klasy są nieliczne niczym w szkolnictwie społecznym, obiekty znakomicie wyposażone,
nauczyciele znacznie bardziej zżyci z wychowankami i środowiskiem niż w mieście. Wyda-
wać by się mogło — oto podatny grunt dla prawdziwie nowoczesnego nauczania i wycho-
wania.

Tymczasem obserwujemy w niej supremację jedynie słusznych poglądów, jedynie słusznej
religii i zawsze mającej rację kadry nauczycielskiej, choć i w tym przypadku spektrum za-
chowań pośrednich jest na szczęście szerokie. Trwożą mnie — a znam wiele takich przy-
kładów — oportunistyczni, służalczy wobec wójta dyrektorzy, trwożą nepotyczne dynastie
nauczycielskie, w których kompetencje do nauczania konkretnych przedmiotów schodzą
na plan dalszy wobec nadrzędnej potrzeby zapewnienia pensum „krewnym i znajomym
królika”. Szkole niejednokrotnie brak autentyczności, szczerości, otwartości, prawdziwej,
nie udawanej samorządności. Czyli tych cech, które wzmacniają ducha wspólnoty i ułat-
wiają podejmowanie działań w przestrzeni wspólnej. Traktowani przedmiotowo rodzice,
którzy przez chwilę byli potrzebni, by założyć stowarzyszenie i utrzymać szkołę w małej
miejscowości, nie identyfikują się z organizacją i powoli nabierają przekonania, że przy-
dzielono im rolę marionetek. Wiele pozornie samorządnych metod wychowawczych, z sa-
morządem uczniowskim na czele, razi fasadowością i w momencie różnicy zdań pada pod
ostatecznym dyktatem nauczyciela czy dyrektora.

Cudzoziemskich ksiąg nie czytaj, czego nie wiesz — księdza pytaj.
Jacek Kaczmarski

Duchowe wartości materialne

Małopolska południowo-wschodnia, z perspektywy której piszę, nawet na mapie katolickiej
Polski jest miejscem szczególnym. Tutaj świeckie granice administracyjne przenikają się
z kościelnymi i niektórzy tracą orientację, czym administrują. Tu można znaleźć wójta,

przedstawiciela wszakże władzy świeckiej, publicznie deklarującego poparcie dla kolejnej w jego gminie szkoły im. Jana Pawła II, z argumentacją, że co prawda jedna już jest, ale... w innym dekanacie. Powiecie, że nie tylko tutaj? Tym gorzej. O, przepraszam, freudowska pomyłka, chciałam powiedzieć: być może. Ci, którzy żyją wystarczająco długo mogą mieć déjà vu. Gdyby wójta zastąpić pierwszym sekretarzem, papieża działaczem komunistycznym, a dekanat — komitetem... I zaznaczam — nie walczę z Kościołem, marzę jedynie o arystotelesowskim złotym środkiem.

Pytanie: „Na ile katolicki rząd dusz, a nawet ciał i umysłów, kształtuje polskie społeczeństwo?” nie należy do tematyki tego artykułu. Zatrzymam się tylko nad udziałem Kościoła w budowaniu wśród społeczności wiejskiej przestrzeni wspólnej, jako że w działaniu tym wykazuje prawdziwe(?) mistrzostwo.

Sezon letni naznaczony jest licznymi festynami parafialnymi. Na wielu z nich piwo leje się strumieniami, czasem w obrębie samego festynu, czasem tuż za przysłowiowym płotem i w pełnym porozumieniu z organizatorem, ale „żeby ludzie nie gadali”. Cel tego lania jest zbożny — zwykle jakieś organy, dzwony, witraże. Już zimą zaczyna się powszechne polowanie na darczyńców, zdobyte w ten sposób fanty biorą udział w loteriach. Koło Gospodyń Wiejskich dba o podniebienia, Ochotnicza Straż Pożarna — o bezpieczeństwo. Przygrywa gwiazda disco polo, w roli supportu — przedszkolaki i uczniowie. Przybywajcie, przybywajcie, grosz sowity zostawiajcie! Wszystko na chwałę Bożą, co w rozumieniu maluczkich przekłada się a to na marmurowy ołtarz (drewniany w wiejskim kościele jest zdaniem księdza proboszcza zupełnie nie na miejscu), a to na aleję wiodącą do świątyni (koniecznie granitową, ksiądz proboszcz nie wyobraża sobie mniej szlachetnego materiału), ówdzie na nowe ławki, koniecznie dębowe, w sosnowych siedzi się przecież znacznie mniej (wy)godnie. W festyny angażowane są świeckie instytucje, głównie szkoły, na terenie których imprezy te niejednokrotnie się odbywają (poniesione koszty? Ależ pan skąpy, dyrektorze, Bóg zapłać nie wystarczy?), wiejskie domy kultury, biblioteki. Przy czym udział tych ostatnich polega zwykle na obowiązkach parkingowych, którą to zaszczytną funkcją obdarowane są, zgodnie z kompetencjami, bibliotekarki. A że później odbiorą dzień wolny w tygodniu i biblioteka będzie zamknięta? Komu to przeszkadza? Na chwałę Bożą. Nie bądźmy małostkowi.

Wokół festynu parafialnego proboszcz-zręczny socjotechnik potrafi zbudować największą bodaj przestrzeń wspólną, w jakiej poruszają się mieszkańcy wsi. Cały ten jarmarczny show, który — tak sobie myślę — Panu Bogu na nic, za to na chwałę proboszczom, pozwala im kreować coś, co — znów po Orwellowsku — nazwałam duchowymi wartościami materialnymi. Masowa regulacja faktów. Refleksja, że można by tę ogromną ludzką energię i niemałe zyski spożytkować pro bono znikąd nie nadchodzi. Choćby na wyjazd wiejskiej młodzieży do warszawskiego Centrum Nauki Kopernik; i nie mam tu na myśli wycieczki z czasem wolnym i goframi, lecz formę zielonej szkoły, udział w wielodniowych warsztatach naukowych. Taaaak... Jak brzmiało jedno z haseł Partii? „Ignorancja to siła”. Właśnie.

*Seks bez miłości to puste doświadczenie.
Ale wśród pustych doświadczeń jedno z najlepszych.*
Woody Allen

Puste rytuały

W społeczeństwie opartym na tradycji rola rytuałów, a więc działań powtarzalnych, była oczywista, zarówno w ujęciu psychologicznym, jak i antropologicznym. Bezpieczeństwo, przynależność do grupy, podtrzymywanie relacji istniejących i nawiązywanie nowych, wzajemne wspieranie się, wreszcie — konsekwencje czysto praktyczne i symboliczne. Rok, oparty na dwóch kalendarzach, rolniczym i liturgicznym, wyznaczał rytmikę i niezmienną dobrze znanych ceremoniałów. Dzięki nim w naturalny sposób budowała się i trwała przestrzeń wspólna. W czasie pracy i w czasie wolnym. Sąsiad był nie tylko sąsiadem, bywał pracodawcą i pracobiorcą, w zależności od momentu wzajemnego „odrabiania” prac polowych albo sprzęgania do jednego wozu koni dwóch gospodarzy. Żniwa trwały długo, a wzajemna pomoc była codziennością, bo przecież „na Wniebowzięcie pokończone żęcie”. Z kolei zimowe darcie pierza kończone wspólną zabawą zastępowało agorę — miejsce życia towarzyskiego, religijnego, politycznego. Wieś miała swoich rzemieślników, najdłużej bodaj kowala. Kuźnia była miejscem wspólnym, w którym kucie koni, choć pozornie podstawowe, stawało się jedynie częścią męskiego towarzyskiego ceremoniału.

Jasełka, wielkanocne palmy, święcone, dożynkowe wieńce, kuligi, kolędnicy, droby (przebierańcy)... Wszystkie te religijne i świeckie obrzędy, głęboko zakorzenione w wierze i tradycji, pieczołowicie podtrzymywane przez wiejską społeczność, tworzyły przestrzeń wspólną na co dzień, przestrzeń, w której ludzie byli ze sobą, nie obok siebie. Wraz z nadejściem nowoczesnego społeczeństwa niewiele z nich zostało. Tak samo trudno dziś mówić o archetypicznych postawach chłopów, jak o uniwersalnych wartościach scalających społeczność. Niknie obrzędowość, poczucie odrębności. Homogenizacja dotarła na wieś. Czy dostępność kina, radia, telewizji, telefonu, internetu, łatwość przemieszczania się, otwarcie granic spowodowały kres identyfikacji z odwiecznymi, zdawałoby się, rytuałami? Czy media społecznościowe są nową odmianą przestrzeni wspólnej i zastąpiły darcie pierza? I jeszcze coś, co nieodmiennie budzi moje zadziwienie — dlaczego korowód mieszkańców, wszak chłopów i rolników! — nie idzie z grupą żeńców, kiedy ta wprowadza dożynkowy wieniec do kościoła? Zanik identyfikacji? Podobnie rzecz się ma z obrzędami zimowymi. Gdzie, poza przeglądami folklorystycznymi, można jeszcze spotkać droby czy dorosłych kolędników? Na YouTube?

W związku z tymi lawinowo następującymi zmianami społecznymi, postępującą alienacją, tendencją do zamykania i izolowania się w najmniejszych mikroświatach nurtuje mnie pewien paradoks: globalna wioska, czy(li)... samotna gra w kręgle? Już w latach 60. XX w. Marshall McLuhan pisał: *Dzięki nowym mediom zmiany następują tak szybko, że możliwe jest wprowadzenie globalnego programu edukacji, który pozwoli nam wziąć nasz los w swoje ręce — lecz aby tego dokonać, musimy najpierw określić, jaką terapię zastosujemy przeciw skutkom działania nowych mediów*¹. Trzydzieści lat później wtórowali mu Stanisław Lem: *Wydaje mi się, że idea globalnej sfery elektronicznej, krótkiego zwarcia wszystkich ze wszystkimi, już w założeniach kryje w sobie rozmaite zgubne możliwości*², i Umberto Eco: *Grozi nam, że wszystkie zegarki, podobnie jak cały dzisiejszy*

¹ MCLUHAN, M. *Zrozumieć media. Przedłużenia człowieka*, Warszawa: Wydawnictwa Naukowo-Techniczne, 2004. ISBN: 83-204-2895-5.

² LEM, S. *Lube czasy*, Kraków: Wydawnictwo Znak, 1995. s. 46-47. ISBN: 83-700-497-3.

*przemysł informatyczny, mnożąc informacje, nie będą dostarczały już żadnej³. Na przełomie wieków dołączył Robert D. Putnam, pisząc: *Technologia elektroniczna umożliwia nam konsumowanie tej dostosowanej do indywidualnych wymagań rozrywki prywatnie, nawet w zupełnej samotności. [...] Jak zaobserwował poeta T. S. Eliot w początkach ery telewizji: »Jest to medium rozrywki, które pozwala milionom ludzi słuchać tych samych dowcipów w tym samym czasie, a jednak pozostawać samotnymi«. [...] Telewizja obniża zaangażowanie obywatelskie, ponieważ: konkuruje o czas, którego mamy za mało, wywiera skutki psychologiczne, które przeciwdziałają partycypacji społecznej, treść programowa telewizji podkopuje motywację obywatelską⁴. QED.**

Nie przemawia przeze mnie niechęć do nowych technologii, w wielu aspektach życia jestem ich użytkowniczką i wielką entuzjastką, zresztą rzeczywistość potwierdziła koncepcję Kanadyjczyka, bliżej mi jednak do myślenia Lema, że *nie powstaje przez to niewinna wieś globalna, o której pisał McLuhan, tylko raczej jakieś dzikie pola, na których występ ek s z e r z y s i ę gwałtownie jak pożar⁵*. Warto też pamiętać, że mimo narzuconej mu przez świat roli „arcykapłana popkultu” McLuhan był świadom procesów „reprimitywizacji naszej kultury”. Ciekawostka filmoznawcza — zagrał samego siebie w arcydziele Woody’ego Allena „Annie Hall”.

Piotr Zawojski w artykule „Wokół McLuhana — po latach” przypomniał, że istnieje wiele możliwości odczytania jego słynnej kwestii: „the medium is the **message**” (przekaznik jest przekazem): „the medium is the **massage**” (masażem) i „the medium is the **mess-age**” (erą bałaganu). Co dzisiaj pomoże naszym wymasowanym (*massage*) w samotności mózgom, co może służyć budowaniu przestrzeni wspólnej w społeczności lokalnej, wzrostowi obywatelskiej świadomości, a co przyczynia się do jeszcze skuteczniejszego atomizowania społeczeństwa „ery bałaganu” (*mess-age*)? Czy multimedia, nowoczesne technologie, cyfrowy świat, cały ten zalewający nas szum informacyjny nie są przypadkiem Allenowskim pustym doświadczeniem, choć — przyznać trzeba — jednym z najlepszych?

Jednostki biorą udział w grze. Zespoły pokonują przeciwności.
SEAL Team Saying

Skok na kasę versus wyższe potrzeby

Rzućmy teraz okiem na organizacje tworzące wspólną przestrzeń. Tradycyjnie na wsiach były zwykle trzy — Koła Gospodyń Wiejskich dla kobiet, Ochotnicze Straże Pożarne dla mężczyzn i Ludowe Zespoły Sportowe też dla mężczyzn, ale raczej młodzieży. W świecie silnie stypizowanych ról segregacja płci była wyraźna. Nie ma już tego świata. Dzisiaj KGW reprezentują mężczyźni, OSP mają żeńskie drużyny ratownicze, a w LZS-ach trenują na równi dziewczęta i chłopcy, zaś mecze siatkówki czy piłki nożnej są chwilami gwałtownego, choć krótkotrwałego tworzenia wspólnej przestrzeni, och, jak bardzo wspólnej i zacieśnionej podczas kibicowania!

³ ECO, U. *Zapiski na pudełku od zapalek*, Poznań: Wydawnictwo Historia i Sztuka, 1993. s. 98. ISBN: 83-85468-13-7.

⁴ PUTNAM, R. D. *Samotna gra w kręgle. Upadek i odrodzenie wspólnot lokalnych w Stanach Zjednoczonych*, Warszawa, Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne, 2008. s. 364-365. ISBN: 978-83-60807-36-1.

⁵ LEM, S. *Lube czasy*, Kraków: Wydawnictwo Znak, 1995. s. 64. ISBN: 83-700-497-3.

Pozostały za to pierwotne wzorce przypisanych płciom zachowań. Strażacy-ochotnicy odpowiadają na atawistyczną potrzebę wspólnoty, potrzebę bezpieczeństwa. Mimo braku strzech, bezpieczniejszych sposobów oświetlenia i ogrzania domów, łatwiejszych dojazdów do najodleglejszych przysiółków — stoją na straży, a ich piękne i kosztowne zabawy niebagatelnie obciążają budżety gmin. Wszelako trudno uczynić na tę organizację zamach, choć — prawdę mówiąc — częściej obecnie stoi ona na straży Grobu Pańskiego i zamiast bosaków nosi baldachimy w procesjach. Strażacy-ochotnicy cieszą się jednak zaufaniem społecznym, na które uczciwie zapracowali i które trudno podważyć oraz — rzecz przesądzająca — stanowią znaczący liczebnie elektorat. Tkwią więc sobie bezpiecznie w nieco zmurszałej strukturze odwiecznych machos, modernizują sprzęt, który zdąży się zestarzeć nim zostanie użyty, stroją w galowe lub bojowe mundury, spotykają w remizach na obowiązkowych „gaszeniach”, słowem — tworzą coś więcej niż wspólną przestrzeń, tworzą subkulturę.

Choć trochę sobie z nich pokpiwam, z prawdziwym szacunkiem odnoszę się do współczesnych wyzwań ratowniczych, jakie przed nimi stają. Powodzie, huragany, nawalne deszcze, gniazda szerszeni — cały ten ogrom natury, której nie jest potrzebny ogień, by pokazać człowiekowi jego małość i kruchość. Dawna „straż ogniowa” poszła z duchem czasu i ratownictwo rozszerzyła o nowe obszary. W mojej wsi istnieje od 13 lat jeden z najprężniejszych w Małopolsce klubów Honorowych Dawców Krwi. Zakładałam go i przez lata miałam zaszczyt do niego należeć, początkowo jako jedyna kobieta. Teraz klub jest w pełni koedukacyjny i międzypokoleniowy, organizuje cykliczne akcje dawstwa krwi, ma swoich przebadanych przedstawicieli w banku szpiku, jest naszą dumą i dowodem na to, że tam gdzie autentyczność, tam znajdzie się bezinteresowne zaangażowanie. Tam odkrywamy naszą — potrzebną wzajem — przestrzeń wspólną.

Ciekawe zmiany zachodzą w Kołach Gospodyń Wiejskich. Kobiety, które — mimo XXI w. — nie chcą się wyzwolić z dziewiętnastowiecznego gorsetu „Kinder, Küche, Kirche”, pozostają w tradycyjnych KGW i tkwią między smalczykiem i pierogami. Te, które chcą czegoś innego, nowego, zakładają stowarzyszenia. Nowe i inne nie jest od razu rewolucją, czasem jedynie nowym, konkurencyjnym bytem. Tkwi w tym pułapka, gdyż pozornie aktywizując społeczność, mnożące się w obrębie jednej wsi stowarzyszenia o takim samym profilu, rywalizują ze sobą, zamiast współpracować. Nie łączą, a dzielą. Nie skupiają ludzi wokół idei, tylko planują „skoki na kasę”, szybko bowiem i sprawnie uczą się wyszukiwać potencjalnych grantodawców i pisać wnioski. A z wnioskami — wiadomo. Grantozą. Umykają cele i potrzeby, pozostają osie i priorytety.

Zarządzanie to robienie rzeczy właściwie, przywództwo to robienie właściwych rzeczy.
Peter F. Drucker

Lider potrzebny od zaraz

Ten rozdział mogłabym utkać jedynie z cytatów Gandhiego: „Najpierw cię ignorują. Później się z ciebie śmieją. Potem z tobą walczą. Na końcu wygrywasz”. Albo: „Bądź zmianą, którą pragniesz ujrzyć w świecie”. Nie trzeba wielu słów, by opisać, jakich liderów potrzebuje wieś (i nie tylko wieś). Tylko czy naprawdę potrzebuje? Co dziś najmocniej wpływa na my-

ślenie, emocje i postawy chłopów? Czy są wewnątrz czy zewnątrzsterowni? A jak jest z ich poczuciem umiejscowienia kontroli? Zważywszy, że cud, los i przeznaczenie są nader popularnymi w Polsce kategoriami sprawczymi, można domniemywać, że przeważają eksterjaliści z charakterystycznym dla nich poczuciem krzywdy, małą aktywnością, poddawaniem się biegowi zdarzeń, brakiem wytrwałości i znikomymi sukcesami.

Tymczasem nie jest to prawda, a w każdym razie niecała. „Money makes this world Go around” (forsa wprawia w ruch ten świat) — śpiewała Liza Minnelli w „Kabarecie” i to jest odpowiedź na pytanie o kierunek myślenia. Emocji dostarcza polityka, postawy kształtuje Kościół. A jednak jest w tej strukturze miejsce dla świeckiego lidera, doświadczyłam tego osobiście. Byłam radną trzy kadencje. W tym czasie zrealizowałam 90% wszystkich oczekiwań mieszkańców, jakie zdiagnozowałam w ankiecie przed pierwszymi wyborami (ok. 35 zadań). W tym tak duże, jak budowa sali sportowej, budowa boiska sportowego, kanalizacja wsi, znacząca poprawa stanu dróg, termomodernizacja budynku zespołu szkół. Nie dokonałoby się to, gdyby nie mozolne budowanie przestrzeni wspólnej, budzenie poczucia odpowiedzialności, dawanie poczucia sprawstwa. Mimo to zmiany (przecież inwestycyjne, nie społeczne!), jakie się dokonały za moją, w jakimś stopniu, przyczyną i tak by nadeszły, tyle że później. Mentalnie nie zmieniło się nic, z takim trudem kreowana „obywatelskość” okazała się efemerydą. I to jest moja porażka.

Samorządy, podobnie jak szkoły, choć fasadowo realizują samo-rządność i na papierze budują społeczeństwo obywatelskie (czy ktoś widział ten byt?), w istocie nie stwarzają przestrzeni do dyskusji, wręcz wyradzają się, zbudowawszy od czasu reformy samorządowej silne, hierarchiczne, pionowe struktury. Gdzie konsultacje, rzeczywisty dialog ze społecznością, wsłuchiwanie się w jej głos? Zebrania wiejskie przybierają formę wieców, na których wójt wie wszystko, zna odpowiedzi na wszystkie pytania (albo, w skrajnej wersji — nie dopuszcza do zadawania pytań) i demonstrowa władzę absolutną. Wiem, wiem, są od tej reguły wyjątki, ale właśnie **wyjątki**. Wójtowie i radni, magicznie przedzierzgnięci stanowiskiem w urbanistów, architektów, projektantów, mając dostęp do sporych pieniędzy, realizują w przestrzeni gmin swe śmiałe, choć często poronione wizje. Kreują ją wedle własnych gustów, a ostatnie lata, z wieloma funduszami na obiekty kubaturowe, bardzo owej „kreacji” pomagały. I tak wyrastają jak grzyby po deszczu horrorki gminnej pastelozji, „choroby ignorantów” bez wiedzy urbanistycznej i architektonicznej oraz wrażliwości plastycznej, jakże trafnie opisanej przez Filipa Springera w reportażach o polskiej przestrzeni⁶. Poznałam niedawno wójta, który poważnie i z rozmysłem pracuje nad budowaniem przestrzeni rozumianej jako wspólnota. Oby był zwiastunem zmiany. Miejscami, w których może się rodzić — i pewnie rodzi — „obywatelskość” są wiejskie biblioteki i domy kultury. Znam wiele takich miejsc. U nas nie wypaliło. Druga porażka. A przecież jestem kulturoznawcą i bibliotekarką! Z pomieszaną ze wzruszeniem ironią przypominam sobie zdanie Williama McKinleya, prawnika, przemysłowca i republikańskiego prezydenta USA z końca XIX w.: *Największe dobrodziejstwo, jakie może wyświadczyć **sobie** gmina, to założyć bibliotekę publiczną.*

⁶ SPRINGER, F. *Wanna z kolumnadą. Reportaże o polskiej przestrzeni*, Wołowiec: Wydawnictwo Czarne, 2013. ISBN: 978-83-7536-556-6.

Pytania na zakończenie

Czy czujemy się odpowiedzialni za wspólną przestrzeń? Za tę architektoniczną — te wszystkie wiejskie drogi, rowy i pobocza, domy ludowe, boiska, szkoły i przedszkola, place zabaw, cmentarze, chodniki. Gdyby tak było, wyglądałaby ona zgoła inaczej. Sprzątanie wsi z okazji Dnia Ziemi, festynu czy prymicji nie załatwia sprawy. A może załatwia i nie ma co oczekiwać więcej? Podzieliwszy wsie betonem, siatką i kutymi balustradami na dziesiątki i setki przestrzeni osobnych dbamy o to, co do płotu. Za płotem, a nawet już na jego zewnętrznej krawędzi nie rozciąga się żadna przestrzeń wspólna, rozciąga się ziemia niczyja. A jeśli czyjaś, to (o zgrozo!) właścicieli bannerów reklamowych, które straszą na ogrodzeniach, pełniąc przy tym dodatkową, poza dreszczem obrzydzenia funkcję, bliźniaczą do wiklinowych, trzcinowych, a czasem jeszcze plastikowych zasłon na miejskich balkonach. Izolują.

A kto odpowiada za mentalną wspólną przestrzeń? Wszyscy? Nikt? Za wspólny czas, język, wspólne wartości, upodobania, marzenia, tradycje, obrzędy, krajobrazy, wspólną historię. Czy to balast czy kapitał? Co zabierają w drogę młodzi, odchodząc do miast i tracąc w nich tożsamość?

Przestrzeń, ta cudowna rama, która wespół z czasem zamyka w sobie całą rzeczywistość, stała się współczesnym słowem-wytrychem, które ma otwierać ludzi na ludzi. Czy tak się stanie?

Bibliografia:

1. MCLUHAN, M. *Zrozumieć media. Przedłużenia człowieka*, Warszawa: Wydawnictwa Naukowo-Techniczne, 2004. ISBN: 83-204-2895-5.
2. LEM, S. *Lube czasy*, Kraków: Wydawnictwo Znak, 1995. ISBN: 83-700-497-3.
3. ECO, U. *Zapiski na pudełku od zapalek*, Poznań: Wydawnictwo Historia i Sztuka, 1993. ISBN: 83-85468-13-7.
4. PUTNAM, R. D. *Samotna gra w kręgle. Upadek i odrodzenie wspólnot lokalnych w Stanach Zjednoczonych*, Warszawa: Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne, 2008. ISBN: 978-83-60807-36-1.
5. ZAWOJSKI, P. [Wokół McLuhana — po latach](http://www.zawojski.com/2006/04/30/wokol-mcluhana-po-latach/), [on-line], dostęp: 07.04.2015 <http://www.zawojski.com/2006/04/30/wokol-mcluhana-po-latach/>.
6. SPRINGER, F. *Wanna z kolumnadą. Reportaże o polskiej przestrzeni*, Wołowiec: Wydawnictwo Czarne, 2013. ISBN: 978-83-7536-556-6.